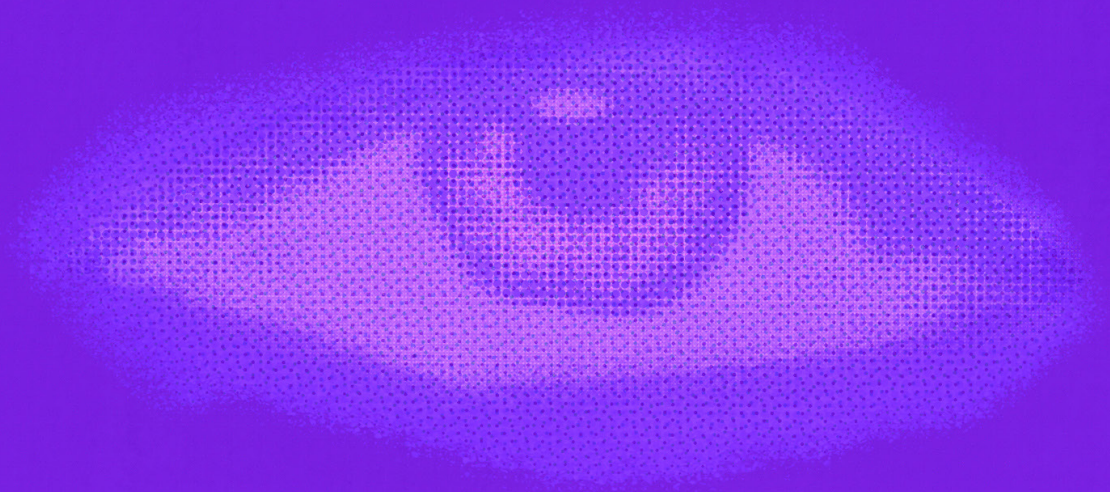


Magazyn Literacki Składka
nr 1/2026 (19)
Dziwaczne i osobliwe



Nina Sikorska, Joanna Majewska, Weronika Stępkowska, Oliwia Borowiec, Fuga, Ola Jankowiak,
Arkadiusz Sieroń, Dominika Król, Morgan Toporyński, Magdalena Hirsch, Szymon Horała, Julia Niedziejko



4	Nina Sikorska Paprykowi ludzie [fragment]
12	Joanna Majewska my werewolf gf
14	Anna Rzepka Odkryto dziwną cząsteczkę
16	Weronika Stępkowska Kobieta ekscesu (tryptyk)
18	Oliwia Borowiec Wyspiarze
22	Fuga arytmia
24	Ola Jankowiak Opowiadanie pogrzebowe
32	Arkadiusz Sieroń Miałem kiedyś wielu ojców
38	Dominika Król strużki
40	Morgan Toporyński Drgnięcie ciała późnym majem
44	Magdalena Hirsch Corpus delicti
50	Szymon Horała Wrzesień, piątek rano
54	Julia Niedziejko Owce

Paprykowi ludzie [fragment]

Nina Sikorska

[...]

Ten wieczór postanowiłam spędzić inaczej niż zwykle – zamiast grać z moim odbiciem w łapki czy układać kostki domina w równe kręgi na dywanie – umówiłam się na randkę. Chłopaka znalazłam w gazecie, w rubryce ogłoszeń matrymonialnych. Twarz wyglądała na chłodną i sympatyczną, jego uśmiech przebijał się przez czarno-biały raster. Wydał mi się wtedy lekiem na moją lękową manię i zaognioną skórę.

Na odchodne zerkam na babcię w jej mrocznym sanktuarium – ze stopami wyciągniętymi na serwecie, kropidłem ukrytym głęboko w szafie, oświetloną wąskim snopem światła z telewizorka. Upiornie pomarańczowi aktorzy uśmiechają się do niej, przeżywają dramaty, rozwodzą się. Babcia mówi, że zapakowała mi na drogę trochę paprykarza, żebym najadła się przed spotkaniem i nie narobiła jej wstydu. Zamykam za sobą drzwi z cichym trzaskiem.

Wrota tramwaju rozwierają się, a ulica bucha gorącym powietrzem, ostatnim tchnieniem upalnego dnia. Srebro-złoto, zegarki 24h, bielizna XXL i w końcu mój cel – niepozorny wietnamski bar.

Na czerwonym skórzanym krześle czeka już on – ogolony na łyso, w bluzie dresowej zapiętej pod szyję. Kiwa na mnie głową, unosząc dwa palce.

– Bogusz – przedstawia się. Wymieniamy uścisk dłoni nad plastikowym menu rozłożonym na stoliku z deseniem w palmy.

Ja też się przedstawiam, na co jego usta układają się w uśmiech – podobnego do tego, który pamiętam z gazety, tylko jakby zglitchowanego przy kącikach. Siadam i z miejsca przyklejam się do krzesła,

wentylator buczy zapamiętane.

– Siedzę teraz na aspie – zaczyna Bogusz, uprzedzając moje pytanie. – W teorii jestem na foto, ale moja praktyka artystyczna jest znacznie szersza. Teraz chyba najbardziej jarają mnie skany 3d, performance, wiesz, trochę też robię muzy swojej.

Podnosi na mnie oczy, a logo adidasa rozciąga się, kiedy bierze oddech. Rzęsy zostawiają na policzkach długie cienie.

– Ty masz dobrą twarz, ja bym to wykorzystał jakoś, można by cię fotografować w różnym oświetleniu.

Kiedy już mowa o oświetleniu – jego skóra w barowym świetle zdaje się prawie przezroczysta. Pod jej powierzchnią rysuje się siatka żył, które zamiast klasycznie błękitne, są alarmująco czerwone. Rozglądam się po restauracji w poszukiwaniu czegoś nietypowego, jakiejś nadprogramowej lampki ultrared, która wywołuje ten efekt, ale wiszą tu tylko zwykłe, narzekające świetlówki.

– Jak zrobiłaś tą minę teraz – Bogusz trze sobie w rozbawieniu oko – to w stu procentach zmaterializowała mi się moja była. Nie będziemy o niej gadać, ja mam to już przepracowane, ale wiesz, tu, na kciuku – jego palce pokryte są tatuażami – utknęły mi tuszem jej bazgroły. Myślę o niej za każdym razem, gdy zerkam na kłykieć, ale nie będę teraz tego usuwał, wiesz ile to kosztuje? Nie w tej, kurwa, ekonomii – śmieje się, próbując mnie zaangażować w swoją dowcipność, ale te jego palce, one naprawdę są całe czerwone, nawet trochę połyskliwe, taką dziwną ma tę skórę.

– Ty nie masz jakiejś alergicznej reakcji? – pytam, wskazując na jego dłoń.

– Reakcji? Na co niby, przecież nawet nic jeszcze nie zjedliśmy. – Unosi brew i wpatruje się we mnie spod przymrużonych powiek jak świnka peppa, kiedy jest zła.

– Teraz pył... lipa pyli – mówię od niechcienia, bawiąc się solniczką. Odchrząkuję. – W swoim ogłoszeniu napisałeś, że interesujesz się socjologią?

– Tak napisałem? Wiesz co, szczerze nie pamiętam, o co mi chodziło, możliwe, że mieliśmy z chłopakami jaranie wtedy. – Przejeżdża dłonią po ogolonej głowie. – Ale jest coś w tym? W sensie lubię robić rzeczy i testować ludzi reakcje, ultra ciekawe mi się to wydaje – i śmieje się swoimi pięknymi oczami, swoim uśmiechem rozpiętym na kościach policzkowych. A we mnie jakby coś zdrętwiało, zapomniało, jak się chichocze.

– Coś z karty? – pyta pan zza baru.

Moje słowa płaczą się i utykają w gardle – ostatecznie Bogusz mi przerywa i zamawia za mnie, bo twierdzi, że lepiej zna się na kuchni azjatyckiej. Wykorzystuję ten czas i wpatruję się w jego manieryzmy, transakcentację słów, dziwactwa wyselekcjonowane starannie na drodze przybierania wyćwiczonej pozy. Mam wrażenie, że jego skóra coraz bardziej się rumieni i pulsuje – jakby coś chciało się z niego wydostać. Czy to pył z owoców morza dryfuje w barowej zawieszynie wywołując pęcznienie tkanek?

– Moja mama na przykład uwielbia owoce morza – próbuję zacząć neutralny temat. – Upodobała sobie zwłaszcza langusty i kiedy byłam mała, to nawet ułożyłam dla niej o nich wiersz – mówię, patrząc ostatni raz na dania, których nie zamówiłam.

– Ja już od dawna nie utrzymuję kontaktu z rodzicami. – Bogusz

odchyła się na krześle. – Poszedłem już dalej. Jak dzwonią na komórkę, to udaję, że nie słyszę. Czasem najlepiej jest się odciąć grubą kreską i stworzyć siebie na nowo. No i teraz szukam czegoś na luzie, bez zobowiązań, z tym że zaraz, bez zapowiedzi, może się zrobić poważnie, mogę znienacka znaleźć dla nas mieszkanie i poprosić, żebyś nie jeździła do swoich rodziców, ale to wszystko będzie ok, bo to będzie bardzo romantyczne i będziemy tylko my dwoje kontra świat. Oczywiście to nie teraz jeszcze – (śmiech) – ja tylko daję ci znać, ponieważ dbam o komunikację i otwartość w ewentualnym związku. A wyglądasz mi na kogoś, kto mógłby pasować mi do tej roli, tylko powiedz mi, czy ty masz w szafie jakieś szersze spodnie, coś takiego bardziej na luzie, plastikowe kolczyki, żebyśmy pasowali do siebie, jak pójdziemy razem na wernisaż albo jakieś drukowanie na sicie, poranny rave?

Auć, co to jest, korzonki? Wyrastają mu z paznokci i z uszu, oplatają mi kostki i nadgarstki.

– Chyba nieszczególnie lubię plastik, a już tym bardziej w uszach – mówię, choć w głowie migocze mi od jego paplaniny, mnożących się wątków, ich rozgałęzień.

– Ha – śmieje się znowu Bogusz. – To o kolczykach to był akurat dowcip, powinnaś nauczyć się traktować życie z większym dystansem. A wracając do rzeczy serio, które traktuję jako proces i drogę, i osobistą przemianę, moja przeszłość jest już pogrzebana, daleko daleko za mną. Tu nie ma już o czym mówić, ja jestem nowym człowiekiem. Ale nie wiem, czy ty spełniasz do końca moje wymagania, czy jesteś gotowa spalić się i stworzyć na nowo, bo teraz jesteś trochę za krzywa, a twoje kontury wychodzą poza mój świat...

Ale nosisz w sobie potencjał, coś mnie w tobie – przełyka głośno ślinę – fascynuje.

Słabo go słyszę, bo skóra spuchła mu tak, że gubią się jego ostre rysy, a głos dobiega zza grubej warstwy tkanki.

Rozlega się pisk samowaru i nagle pękają żarówki nad naszymi głowami, eksplodują też słoiki z paprykarzem w mojej torebce. Z kuchni wylewa się wrzącym strumieniem bulion, który rozbija szyby, rozbryzgując się na wszystkie ściany. Bogusz nie mówi już, nie porusza się, obrasta tylko półkolistymi ściankami paprykowej skórki. Próbuję poluzować korzonki, które zacisnęły mi się boleśnie wokół kostek i przegubów, ale nie mogę wcisnąć pod nie palców, rozkrwawiam sobie tylko paznokcie. Z torebki zanurzonej w gorącej, karminowej zupie, wyszarpuję mój nożyk introligatorski i przecinam obezwładniające łodygi i pędy. Naprzeciwko mnie siedzi teraz gigantyczna papryka. Unoszę wzrok, żeby zobaczyć wgniecenie, jakie wytworzyła w suficie swoim gargantuicznym psiankowatym cielskiem. W błyszczącej soczyście czerwieni odbija się miganie rozbitej lampy.

Brodzę przez gęsty, bulgoczący wywar w kierunku wyjścia, „niech pan się ratuje!”, krzyczę do właściciela, ale nie wiem, czy on mnie słyszy w tym armagedonie sosów i smażeniny.

Razem ze mną przez drzwi wylewa się fala paprykowej flegmy. W naglej nocnej ciszy słyszę w końcu swój nierówny oddech, słyszę serce, które rozszalało się w najlepsze. Lipcowa północ otacza moje poparzone ramiona swoją opieką, a wyłączone światła nieruchomości aut zerkają na mnie z mroku. Cykady może by się odezwały,

gdyby nie był to środek miasta, wyrżnięty z przyrody. Puste biurowce, puste, przestronne przejścia dla pieszych, nieużywane skrzyżowania. Jestem sama. Jestem sama.

Nierównym chodnikiem ruszam krok za krokiem na poparzonych nogach. Zimna, mokra od deszczu ławka z metalu i tablica z rozkładem nocnych busów. Pęka mi głowa – może od ciśnienia, może od rozbitych marzeń. Wykręcam pasek torebki, który przesiąknął rozwodnionym paprykarzem. Skupiam wzrok na tyle, żeby rozróżniać literki i cyfry, i odczytuję z rozkładu, że wszystkie dzisiejsze autobusy już odjechały. Zamawiam więc taxi.

– Fun night? – pyta kierowca, podczas gdy ja zaczynam odliczać drobne za przejazd.

– Aces – odpowiadam, mrużąc oczy od bólu i świateł samochodu. Metalowe monety są zimne w moich dłoniach.

Współczucie odbija się w jego migdałowych oczach.

– Well, TGIF – uśmiecha się, a z radia leci przyspieszony popowy remix.

Mruczę coś niewyraźnie. Czuję się tak, jakby ktoś spalił mi trzewia, a pozostałe z nich zgłiszcza dogasały sobie teraz dostojnie w głębinach mojego brzucha. Ze zmęczenia przymykam oczy.

Taksówkarz milczy taktownie, szanując mój desperacki półsen, a potem wysadza mnie pod kamienicą. Wszystko wygląda obco, chłodno i szaro. Kostki brukowe, tynk na ścianach, lampy wspinające się wysoko w nocne niebo. Wdrapanie się na 2. piętro wydaje się zajmować dłużej niż zwykle – mętne są schody, które rozwijają się pode mną w drodze do mieszkania, mętne są odmęty dziurki, w której błędzę kluczem i przepastne przestrzenie moich butów,

które ściągam przy drzwiach.

Ostatkiem sił włączam telewizor, bo nie wytrzymam już w tej ciszy ani sekundy.

Na ekranie, jak zbawienie, jak utracona arkadia, wyświetlają się zielone liście, powiewają delikatnie, spływają z nich makro krople wody. Trzeszczący głos lektorki przemawia do mnie, niesie się po tykającej ciszy mieszkania:

– *Te soczyste liście wabią wszelkie gatunki zwierząt, pozostają one zielone przez cały rok. Jak widzimy, cały las wokół rośliny został już pożarty przez rozszalałą feralną, tego lasu już praktycznie nie ma. Pozostały jedynie suche bąble i ta samotna, liściasta piękność w samym ich centrum. Porastają ją stwardniałe kolce. Czy to w nich tkwi tajemnica jej wiecznej zieleni?*

Masza, moja współlokatorka, mruży oczy w świetle płynącym z ekranu. Drobinki kurzu wirują w jego snopie.

– Co ty, znowu oglądasz ten kanał o liściach?

Ja sobie tylko dalej leżę, policzkiem na parkiecie w jodelkę.

– Oj – cmoka. Słyszę jej kroki. Szybki błysk lodówkowego światła. Potem chłód na ramionach.

– To jogurt – mówi Masza łagodnie. – Na sparzenia.

Ściera mi z grzywki kawałki paprykarza.

– *Niestety nawet kolczaste formacje nie zniechęcają osobników o wyjątkowo grubych językach. Prześlizgują się pomiędzy ochronnymi wypustkami rośliny i zaczynają pałaszować. Ich grube języki krwawią...*

– Nie siedź za długo, co? – pyta, ale pytanie leci w eter, a ja leżę dalej, bo w szparach między deseczkami podłogi wyczuwam swoich

pobratymców. Masza znika za drzwiami, nienaruszona, oddzielona od mojej porażki swoim satynowym szlafrokiem i warstwą retinolu wtartą w twarz z nabożeństwem.

– *...kęś za kęsem, roślina zostaje pożarta. Z każdym ugryzieniem drażniących ust, sawanna pogrąża się w coraz bardziej przejmującej pustce. Zapada noc, zwierzęta idą w tany, grają na skrzypkach, po czym zasypiają zmęczone, rozparte wygodnie na skałach. Z kolei okaleczona roślina błędnie i okrywa się liśćmi, które jej pozostały. Próbuje wykonać ostatnią fotosyntezę, ale, co za szkoda, zauważcie, drodzy widzowie, na jej świecie nie ma już żadnego światła.*

Nina Sikorska – urodzona w 2001 roku w Bielsku-Białej, obecnie studiuje na piątym roku na kierunku Animacja na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu. Pisze, ilustruje i reżyseruje filmy animowane. Jej teksty ukazały się w kilku numerach magazynu *Zakład*, a ilustracje na łamach zina *Girls and Queers to the Front* oraz *Po Godzinach*. W 2025 była częścią rezydencyjnego projektu literackiego *Lines from Visegrád*. W swojej twórczości eksploruje zagadnienia kampu, polskości i teatralności. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @nelsikoreska.

my were- wolf gf

Joanna Majewska

Wywinięte wargi, zmarszczony nos. Psie rysy na ludzkiej twarzy. Krok do tyłu. Trzask. Syk. Spieniona ślina wycieka kącikiem ust. Zaraz zrobi się głodna, ale jeszcze chwilę, jeszcze mogę na nią popatrzeć. Trzask. Żuchwa wysuwa się boleśnie do przodu, naciąga skórę. Już nie twarz, jeszcze nie pysk. Jest prawie przezroczysta. Skomle, kiedy przez przekrwione dziąsło przebijają się ostre kły. Krew miesza się z pianą śliny.

Zatapia wyrastające pazury w błocie, brudzi sierść wspinając się po jej dłoniach, przedramionach, barkach. Wije się, tarza, popiskuje. Wbijam wzrok w jej gołe nogi, blade łydki, smukłe stopy. Najpierw trzeszczą piszczele. Palce puchną i wydłużają się, rozrasta się kość śródstopia, przekształca w wielką, wilczą łapę. Gdybym mogła podejść bliżej, usłyszałabym, jak pękają włókna mięśni, jak kości rozpychają się w jej zbyt ciasnym ciele. Cierpi, a ja nie mogę przestać na nią patrzeć. Sapie, a ja wstrzymuję oddech, by lepiej słyszeć chrzęst rozciągających się kręgow, chrupot kości ogonowej, która rośnie, rośnie, rośnie. Jej przezroczysta, naciągnięta skóra znika pod warstwą czarnej sierści.

Odrywam wzrok od powykręcane tułowia, karykatury wilczego szkieletu. Patrzę jej w oczy. Patrzy na mnie ciemnymi, przestraszonymi ślepiami. Gdyby przestała zaciskać kły, poprosiłaby mnie, bym weszła już do domu, zamknęła drzwi, zabarykadowała się w środku. Jeszcze tylko chwila. Odsuwa się ode mnie z pyskiem nisko przy ziemi, uszami stulonymi po bokach obrośniętej ciemnym futrem głowy. Głodnieje. Krok do tyłu. Kładę dłoń na klamce otwartych na oścież drzwi i zastygam jeszcze na sekundę. Chcę, by otworzyła paszczę. Chcę zobaczyć jej zalane śliną kły i czarne podniebienie.

Pamiętać o nich, gdy jutro ludzkimi ustami wypłuje do zlewu w łazience resztki krwi zaschniętej na ludzkich dziąsłach.

Zamykam drzwi, przekręcam klucz po kluczu, zapinam łańcuchy. Nasłuchuję. Węszy, sapie, parska. Zaraz zawyje, zbierze się do biegu. Za drzwiami zostawi za sobą tylko odciski łap i echo trzaskających kości. Będzie wyć, gryźć, szarpać, pożerać. A ja, wyglądając przez okno we wspólnej sypialni, będę starała się usłyszeć każdy krzyk, najmniejsze mlaśnięcie, chrzęsty innych ciał, gruchot cudzych kości.

Wróci nad ranem. Jeszcze na czterech łapach wdrapie się na łóżko, przylgnie ciepłym, mokrym futrem do moich pleców. Będzie pachniała deszczem.

Joanna Majewska – ze Szczecina wyjechała do Poznania. Studentka filologii polskiej, norwidolożka, kociara.

1. CHWILA

2. HISTORIA

3. WIECZNOŚĆ

Miliardy cząstek
mikroplastiku w jednej
torebce herbaty!

MĘSKOŚĆ JAKO CHOROBA

bo tu jest podatny grunt
na propagandę.

oto

człowiek

bruh, cringe, delulu, drillowiec, fr/
FR, git, imo. kys, LOL, NPC, odklejka,
oporowo. rel, rizz, side-eye, sigma,
slay, zgerypała.

Narodziny i dalsze losy

Pokochasz to!

mniej beka i puszcza bąków!?

Krótką historią (nie)zależności

ROZWIĄZANIA

MIĘKKIE

Odkryto dziwną cząstkę

Każdy
dowcip

to maleńka
rewolucja

Kobieta ekscesu (tryptyk)

Weronika
Stępkowska

1. Ekskomunikacja

Wyda się, jakby wszystkie wydarzenia „przed” były tylko epizodami, jakby his- i herstorie zaczęły się właśnie wtedy. I jakbym potrzebowała dystansu, bardzo epickiego, żeby to opisać.

Kobieta pragnie mężczyzny. Przynosi go jednak na jej język nie ślina, ale alfabet: już pierwsza litera. Będziesz mi alfą i omegą ludzkiego (zanie)mówienia; pozorem i ozorem, które, [(s)p]ożywszy, zobaczymy. Bądź mi beta-testerką moich zrywów, dam ci się po de... rwać, oddam ci się cały. Pszenicuj moje włosy, łuskaj kłosa, aż zyskasz czarny (ż)wir. Podobno Kosmos ma na imię alibi, albo i bez i: jest albą ostatecznego rozstania.

Wiele rzeczy zostało w zawieszeniu: de-presyjny bondage. Sporo jest cząstek wir-tułania w pełni potencjalnych. Odciągnij mnie od języka. Zabierz mi alfabet. Już nie powiem A, *men*.

2. Lady Kokoschka

Od kiedy odszedł, fantazjuję nie o nim, a o lalce jego kształtu i rozmiarów. To romans sci-fi. Czy lalka rozumie słowa, które do niej mówię? Czy bolą ją wyrwane z brody w dzikim zapamiętaniu włosów? O, toczę z nią też dialogi (nie całkiem) (pla)toniczne. Czy lalka jest moją drugą połową, czy przeciwnie – całością, jednością, nieuchwytną zwłaszcza w stanie wojny, kiedy człowiek osiąga co najwyżej okrągłe zero człowieczeństwa? Czy lalka to andro-*id*, a ja jestem łowcą – głów, w które trzeba się stuknąć, gdy zwiedzie nas na manowce w y(t)ł u s z c z o n a hydra ulika? Lalka nas *śledzi* i później pisze cyborgrafię, a my za nią płacimy. Jak (s)łono: łzami i krwią.

3. Uszy-ty

Dziś w końcu zobaczyłam jego uszy w telewizji. Bardzo odstające. Prezenter miał też brodę i mówił o ważnych sprawach w rodzaju: gdzie spadł dron, tudzież o początku zaczynającej się właśnie wojny, a ty patrzysz na jego uszy i myślisz: ile bym dała, żeby ich dotknąć, a zresztą to nie A. Czy brak braku etc... wiadomości, jest do potęgi n-tej dobrą wiadomością? Czy nawet jeśli TVN24 *wydrnuje* do reszty mój mózg, to uszy-yeah!my na to miejsce coś jeszcze lepszego? Zdradzę wam, bo mam ochotę zdradzić, że nie wiem. Na pewno, jeżeli zakopię w ziemi wykrzyczaną ciszę, cenną niczym złoto, król *Mi-da* zachowa na zawsze piękne ośle uszy.

Weronika Stępkowska – wyznawczyni reguły „3 F” (feminizm, filozofia, feline phantasies), praktykująca gorliwie różne rodzaje rozszczepień – od tych między ciałem a umysłem, przez rozszczepienia języka obcego, jakim staje się dla niej polszczyzna, po romantyczne roz(s)zczepienia. Chciałaby kiedyś napisać pracę o formach przejawiania się Białoszewskiego „siulpetu”. Tymczasem pisze (i czasem publikuje) zupełnie inne rzeczy: a to wiersze (można je znaleźć w takim piśmie jak: *Arterie*, *Tygiel Kultury*, *POZa Linią*, *Fraza*, *Wyspa*, *Gazeta Musi Się Ukazać*, *Drobiaszki*, *Szorty*, *Nowa Orgia Myśli*, *Babiniec Literacki* oraz w kilku różnych antologiach i zinach), a to recenzje bądź eseje (w *Arteriach*, *Afronie*, *Tyglu Kultury*, *Stronie Czynnej*, *Korean Literature Now*, *Śląskiej Strefie Gender* i na stronie fejsbukowej *Weroni-cowanie Poezji*). Autorka tomu *Algorytmy i Olgorytmy szaleństwa* (Nowa Ruda, 2023). Laureatka konkursów poetyckich, ostatnio m.in. Ogólnopolskiego Konkursu Jednego Wiersza w ramach Chojnickiej Nocy Poetów i Ogólnopolskiego Konkursu na Prozę Poetycką im. Witolda Sułkowskiego.

Wyspia- rze

Oliwia Borowiec

Bez łodzi i radia czas stanął w miejscu. Byli pewni, że pomoc wkrótce się zjawi, ale dni mijały i nikt nie przyплыwał. Musieli żyć dalej. Pochylali się nad książkami, gotowali obiady i chodzili spać po zmroku. Zamknięto szkołę i niedługo potem znowu kazano uczniom chodzić na zajęcia. Na poboczach dróg stały porzucone samochody. Ścieżki w lesie pogłębiały się od śladów stóp.

Eleonora próbowała wymyślić rutynę na nowo. Nie odnajdywała się już w codziennych rozmowach, skupionych wyłącznie wokół przypadłości wyspy. Eryk niechętnie spędzał z nią czas. Miał słońce, które malował na płótnie, i urządzenia, które bez skutku próbował przywrócić do życia. Eleonora pozwoliła mu zająć się własnymi sprawami.

Zdarzały się dni, gdy tylko jej własne imię układało się w spójną całość. Powtarzała je na głos, próbując nowych sposobów na przedstawienie się nieznanemu osobie. Dla każdego mogła być inną Eleonorą.

*

Mieszkańcy wyspy regularnie zbierali się w ich domu.

Eryk źle znosił stres związany z przemawianiem przed większą grupą. Czuł jednak, że musi wypełnić swoją misję. Eleonora do-trzymywała mu towarzystwa, kręciła się obok, przygotowywała przekąski. Kiedy ktoś zapukał, otwierała drzwi. Goście przynosili ze sobą ciężkie, leśne zapachy. Eleonora marzyła o przyjaźniach, jakie mogłaby wśród nich znaleźć.

Eryk łapał ją wtedy za ramiona i patrzył prosto w oczy.

– Musisz się skupić. Potrzebuję wsparcia – mówił. Albo: – Od tego

spotkania zależy, czy uda nam się uciec z wyspy.

Opowiadał o tym, że zatonęli po drugiej stronie tafli wody. Tłuma- czyło to znikające łodzie, głosy z radia. Eryk twierdził, że słońce, które wstawało każdego dnia, odcinało ich od reszty świata. Wobec tego malował własne światło. Przedstawiał gościom swoje obra- zy: drżące plamy żółci na czystej bieli. Uspokajały się dopiero pod dotykiem człowieka.

Mieszkańcy wyspy łaknęli obietnic, a Eryk zapewniał ich, że mają przed sobą źródło życia. Wierzyli mu na słowo i przystawali plecami do płótna.

*

Niektóre miejsca okazały się odporne na odosobnienie. Supermar- ket pozostawał otwarty i działał bez usterek. Automatyczne drzwi i szum klimatyzacji uznawane były za elementy natury. Mieszkańcy wyspy musieli robić zakupy, musieli mieć też okazję, żeby powie- dzieć sobie „dzień dobry”.

Eleonora kupowała tam ulubiony sok marchewkowy i świeżą sałatę. Poza tym chodziła między alejkami i wypatrywała pamiątek z innego świata. Kartkowała gazety sprzed dziesięciu lat. W pro- gramach telewizyjnych czytała o filmie, który przez tydzień leciał bez przerwy na wszystkich kanałach. Było jasne, że nie mieli za czym tęsknić.

Pozwalała sobie obserwować innych klientów dopiero wtedy, gdy stała w kolejce do kasy. Zachwycała się czyjąś burzą czerwonych lo- ków, pieprzykiem na brodzie albo kapeluszem z piórami. Z uśmie- chem witała też kasjerkę. Za krzesłem kobiety, wśród ulotek

i kuponów, zawsze stał czerwony telefon. Któregoś dnia odezwał się donośnym brzękiem.

Kasjerka podniosła słuchawkę i wymamrotała do niej kilka niewyraźnych słów.

Eleonora czekała, bawiąc się naklejką na butelce soku.

– Ma pani działający telefon – zauważyła.

– Oczywiście, że tak. Podać coś jeszcze?

– Nie, dziękuję – powiedziała Eleonora. Nie chciała wstrzymywać kolejki.

*

Nocami polowali na świetliki. Przemierzali wyspę w grupach albo samotnie; niektórzy bezszelestnie, inni z dzikimi okrzykami. Trawa łaskotała ich w kostki, kamienie raniły po gołej skórze. Na chwilę byli wolni od przepowiedni.

Eleonora biegła tuż za nimi. Skakała nad strumykami i odtrącała gałęzie, aż potknęła się o własne nogi. Nie miała ochoty wstawać; zamiast tego ułożyła się w miękkiej trawie i obserwowała. Inni tropiciele podchodzili do zadania bardziej zawzięcie. Łapali świetliki, jakby potrzebowali ich, żeby przetrwać. Światłem zamierzali nakarmić supermarket i farby Eryka, naprawić samochody, zbudować nowe łodzie. Wyrywali sobie słoiki, szarpali się za włosy i kończyli w ciasnych uściskach.

Eleonora wyobraziła sobie, że naprawdę utknęli pod powierzchnią wody, obrócenie do góry nogami i zaplątanie w trzcinie. Opuszkami palców mogła dotknąć księżycy, wygładzić wzburzone fale. Usłyszała, jak ludzki głos odpowiada na wilcze nawoływania z głębi lasu.

Bez żalu wróciła z powrotem na ziemię.

Noc otwierała wyspę na inne światy. Pod jej sklepieniem nie było ani jednego samotnego głosu; nie znalazłby się tańczący bez towarzysza. Eleonora wiedziała o strachu tylko dzięki opowieściom. Jeśli miałyby ochotę, mogłyby postawić stopy na tafli wody i pobiec na przeciwny brzeg.

Oliwia Borowiec – rocznik 2001, absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Interesuje się literaturą gotycką i kinem grozy. Publikowała w magazynach internetowych *Szajn* i *Kwintesencja*.

arytmia

Fuga

jest 2 w nocy a
ja trę ser do boloneza
tak się baluje tam gdzie ja mieszkam
a jednak coś we mnie
opada
twardnieje mi skorupa
parmezan
od środka pęcznieje i
pęka
powietrze ucieka od dycha
mówię że nie ma
dech
do krojenia
za dużo rozkładałam pieczywa
makaron pszenny i z
żyta
za dużo węglowodanów
za dużo energii
a nie ma
niech da mi potaćzyć
na raz
aż do zamknięcia
3
2
1
ach cisza

słoik z sosem winiary
znów

ale otwieram boli

Fuga – 22-letnia studentka psychologii. Od zawsze interesowała się poezją, a w swoich utworach sięga do osobistego doświadczenia neuroróżnorodności. Sztuka koi jej chroniczny ból i pomaga przetrwać dogłębny brak zrozumienia przez innych i często nawet przez samego siebie. W sztuce, Fuga porusza tematy marginalizowanego doświadczenia, a na codzień zajmuje się badaniami osób neuroróżnorodnych i społecznego funkcjonowania osób z niepełnosprawnością. Publikowała już w 16. numerze *Tłenu Literackiego* i w zinie *Fire, Girls and Queers to the Front*. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @fuga_szkielna.

Opowiadanie pogrzebowe

Ola Jankowiak

Babcia rozmawia z Danutą (swoją siostrzenicą) o bluzkach z żorżety, które Danuta jej pożyczyła. Te bluzki były kupione w 2007, z myślą o pogrzebie wujka (ojca Danuty). On zmarł zimą, więc się nie przydały.

Tyle lat przeleżały w szafie, ale to jest dobry gatunek. Żorżeta.

Bluzka jest jak znalazł, dobrze leży. Babcia jest zadowolona. Idzie sprawdzić, czy przyjechał autobus. Zamówiła kierowcę, żeby woził nas do kaplicy, kościoła i na stypę.

Nie ma jej chwili, idę za nią wyrzecz.

Jesteśmy same na klatce.

Wykorzystuję ten moment, żeby zapytać ją o powód zgonu taty.

Mam plan:

Nawiązuję do sytuacji z sekcją dziadka.

Potem pytam, czy tata miał sekcję. (Nie miał.)

Potem pytam, jaki ma wpisany powód zgonu.

Babcia mówi, że kiedyś mi pokaże.

Jak zwykle mówi „kiedyś”, jak groźbę.

Jak „ja Wam pokażę”.

Ona myśli, że wie coś, czego my nie wiemy.

Że ona wie, co mu było, a my to przespaliśmy.

Jakbym nie pamiętała drabinek w szpitalu, których musiał się łapać, żeby wstać,

albo butelek wciśniętych za łóżko

i kolekcji szklanek promocyjnych z wina *Cin Cin*.

Babcia daje nam po 10 zł na tacę.

Mówi, że ksiądz jej powiedział, że taca ma być lekka.

A więc banknoty.

Jestem zniesmaczona. Pytam, czy serio tak powiedział. Mówię, że jak tak, to ja mu nie dam na tacę.

Zbieramy się do wyjścia. Każda z ciotek powtarza kilka razy, żeby zamknąć wszystkie okna.

Żeby posprawdzać.

Nie przyznaję się, że u mnie domyślnie balkon jest otwarty na oścież.

Teraz też.

Jedziemy busikiem na czuwanie. Pytam siostry, kto jest kim.

Nie poznaję nikogo.

Pewnie ostatnio widziałam te osoby na pogrzebie ojca.

Czuję, że muszę szeptać, bo za mną siedzi facet, który jest rodziną, ale nie wiem jaką.

Tak naprawdę wcale nie muszę szeptać, przecież on też nigdy by nie zgadł, kim ja jestem. ...Kuzyn mojego ojca.

Zaczęłam teraz pisać „ojciec”, bo takiego słowa na tatę użył przed chwilą mój brat. Że ostatni raz byliśmy u rodziny w K., „jak ojciec żył”. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałam.

Ani za bardzo o niczym. On nic nie mówi.

Dojechaliśmy pod kaplicę. Przez otwarte drzwi widzę, że w środku jest dziadek. Trochę mną wstrząsnęło, bo kompletnie nie jestem w pogrzebowym humorze. Włączył mi się komizm tej sytuacji, to głównie przez te żorżety.

Stoję chwilę przed kaplicą. Jest bardzo gorąco. Mówię Martynie, że na pogrzebie taty też było ciepło. Pytam, czy pamięta.

Ona mówi, że nie.

Ja mówię, że pamiętam, bo to wydaje mi się jakieś nienaturalne, żeby iść w krótkich ciuchach na pogrzeb.

I że świeci słońce.

Wchodzimy do kaplicy.

Jesteśmy przy trumnie. Babcia mówi, że dziadek ładnie wygląda w tej marynarce, ale że ledwo w nią wlaź,

„ona jest na 118” - mówi.

Doskonale wiem, o co jej chodzi, ale dopytuję: „118 czego?”.

„118 cm”.

Babcia jest krawcową.

Chwali granatowy krawat i mówi, że jest lepszy od tego beżowego w ciapki, który miała.

„No, powiedziałaabyś, że on nie żyje?”

Rzuca pytanie, trochę w eter, trochę w stronę Gośki (drugiej siostrzenicy).

Nikt nie odpowiada.

Myślę sobie, że ja bym powiedziała, że on nie żyje i pewnie inni też by tak powiedzieli.

Przecież on nie żyje.

Babcia dotyka dziadka po twarzy. Jego twarz porusza się jak przedmiot, nie jak ciało.

Nie mogę na to patrzeć.

Patrzę na Alicję, płacze.

Ja nie.

Babcia prosi, żeby poprawić dziadkowi głowę. Pan z zakładu pogrzebowego przynosi dodatkową poduszkę i zbliża się, żeby mu ją podłożyć. Odwracamy z Alicją wzrok.

Danuta mówi, że zacznie odmawiać różaniec.

Odmawia. Dość szybko i głośno.

Brzmi jak wiedźma rzucająca złe zaklęcia, bardziej niż ktoś żegnający bliską osobę. Jest jak katarynka.

Mówi, że dziś czwartek i że dlatego będzie taka i taka modlitwa.

Kompletnie nie znam się na kalendarzu modlitw.

Po chwili przestaje jej słuchać. Mam wrażenie, że ten różaniec nigdy się nie skończy.

Sufit tej sali jest czarny i błyszczący, są w nim małe diody – jak gwiazdki. A pośrodku, z tej czerni wyłania się duże owalne zdjęcie błękitnego nieba i chmur.

Dziadek odbija się w błyszczącej czerni.

Po kaplicy lata mucha. Siada na dziadka twarzy. Gosia ją odgania.

Danuta zapowiada kolejną modlitwę. Ile jest tych koralików na różańcu? Patrzymy na siebie z Alicją. Nie dajemy rady. Daje mi znak, że wychodzi na dwór. Idę za nią.

Jesteśmy na dworze. Mówi, żebym patrzyła, czy babcia idzie, bo pali fajkę.

Podchodzi do nas Tomek, pyta co za gównu pali Alicja i po co. Ona mówi, żeby się lepiej zapytał „co na grzale”. Śmiejemy się.

Widzę, że idzie babcia. Daję sygnał Alicji. Babcia jest zmartwiona tym, że wyszliśmy, więc wracamy do środka. Dla świętego spokoju.

Wracając, gadam z Alicją o pogrzebie taty. Obie pamiętamy, że wtedy też tak było – ciotki odprawiające modły nad trumną.

Siadam obok Tomka. Pytam, czy na pogrzebie taty wszedł do kaplicy, żeby zobaczyć go w trumnie. Wszedł. Pytam, czy pamięta, że wtedy też były takie nawiedzone wiedźmy nad trumną. Pamięta, ale nie pamięta, żeby tak długo to trwało.

„A co jeszcze pamiętasz z pogrzebu?”
„Pogrzeb”.

Babcia zagląda do książeczki pod dłońmi dziadka. Chyba coś tam wkłada?

Podchodzi Danuta. Babcia pyta: „No lepiej tak z tą poduszką?”. Ja też podchodzę do babci. Pytam, co tam włożyła. Muszę powtórzyć kilka razy, bo słabo słyszy.
Obrazek od kapelana.

Zbliża się czas transportu na cmentarz. Ekipa od trumny prosi, żebyśmy wyszli.

Czekamy na dworze. Babcia mówi, że u taty zamykali trumnę z ludźmi w kaplicy, że nie wyprasali. „Rękę by mi przytrzasnęli”. Zawsze jest dobry moment, żeby przypomnieć o męczeństwie.

Jedziemy bussem do kościoła. Jest z nami Aldona (to chyba sąsiadka?). Mówi, że dziadek ładnie wyglądał, jakby sobie spał. „Wiadomo, że kolor skóry nie ten, ale tak to ładnie.”

Jesteśmy głodne. Zjadamy batona na pół. Alicja zawiązuje na środku papierka supełek. Robi z papierka kokardkę. To coś, co zawsze robił nasz tata. I ona też tak robi. Ja nie.

Wchodzimy do kościoła. Siadamy z babcią w pierwszym rzędzie. Babcia przegoniła Danutę na ławkę za nami. Wydała mi się przez to niezadowolona.

Mamy jeszcze pół godziny do mszy. Babcia mówi: „nie mogłaby wcześniej być ta msza?”.

Danuta odpowiada nakazującym tonem:
„MÓDLICIE SIĘ”.

Zaczyna grać muzyka. Trąbka.

Kończy się.

„Zagraliby co jeszcze”, mówię do Alicji.

Śmiejemy się.

Siedzimy chwilę, patrzę na rękawiczki, które ktoś pewnie zgubił.

Myślę o tym, że nie jestem do końca w swoim ciele. Ostatnio.

Trębacz znowu zaczyna grać.

Przestaje.

Zaczyna.

Jeszcze raz nawiedza mnie myśl o rękawiczkach. I o ich właścicielce. Trochę bez sensu, że ciągle leżą przełożone o oparcie ławki. Raczej nikt po nie nie wróci. Jest lipiec. Ile tu leżą?

Wchodzi ksiądz.

Opowiada o czasie. Że jest go mało i szybko płynie. Mówi, że kiedyś usłyszał takie piękne zdanie: „za pieniądze możesz sobie kupić zegar, ale czasu nie”. Mamy inne definicje piękna, ale ogólnie to

szanuję go za te rozkminki o czasie, bo ostatnio też ich dużo mam.

Babcia i cała jej rodzina idzie do komunii.

„Ale święci”, mówię do Alicji i żartuję, że my powinniśmy siedzieć w tylnym rzędzie.

Jedziemy na cmentarz. Jesteśmy bardzo głodne.

Aldona w autobusie mówi, że tak ją ugryzł komar, że smaruje, że swędzi bardzo. Arek (brat babci) opowiada, że trzeba suszarką przegrzać, że ciepła temperatura rozpuszcza toksyny. Tylko żeby się nie poparzyć. I że to od razu trzeba.

Podoba mi się, że trębacz nadal jest z nami. Grabarz w roboczych ogrodniczkach podaje księdzu kropielnice i popiół. Jest młody. Potem chowa wszystko do kieszeni.

Trójka grabarzy (dwóch starych i jeden młody) w pełnym słońcu zasypuje trumnę piachem. Chwilę to trwa.

Babcia marudzi, że mieli ten dół wykopać na płytko. A jest na głęboko. Pyta, czemu tak głęboko.

Układają kwiaty, babcia narzeka, że zrobili to brzydko. Poprawiam je, piach wlatuje mi do buta.

Wracamy. Między grobami leży ulotka. Podnoszę ją, że niby jestem taka dobra i zbieram śmieci z ziemi. Ale tak naprawdę wiem, że mnie rozbawi, mam taką intuicję, bo znam ten rodzaj ulotki włożony do torebki strunowej. Chcę sprawdzić, co na niej jest.

Maszynowe szlifowanie nagrobków z lastriko www.odnawiamynagrobki.pl

WAZONY

KRÓTKIE TERMINY

Wysłanie zdjęcia nagrobka umożliwia zdalną wycenę usługi.

ZLECENIA: 32/25-25-320

Nagrobek po szlifowaniu wygląda jak nowy i staje się ŁATWY W MYCIU na lata.

tablicenapisowe@o2.pl

32/25-25-320

Wyrzucam ulotkę do kosza przepelnionego sztucznymi kwiatami i pustymi wkładami do zniczy.

Babcia przeżywa ten dół. Mówi, że jakieś niepocumane te grabarze... Mieli na płytko, żeby nie zahaczyć o Jacka. Ale że „może i dobrze, bo ja będę na dziadku. A będzie jeszcze miejsce, jakby kto się chciał pochować”.

Tomek ściąga w busie marynarkę. Babcia mówi, że na stypie, na sali jest wentylacja „to se ubierz, to będziesz taki ładny”.

Na stypie siedzę obok Gosi. Pierwszy raz rozmawiam z nią jako dorosła osoba. Podoba mi się jej energia, humor i mądrość. Zaprasza mnie do K. To miłe, ale wiem, że nie przyjadę. Dowiaduję się od niej, że ten trębacz to taka tradycja rodziny od strony babci. Że babcia go zamówiła.

Po stypie odprowadzamy babcię do domu. Mówi, że jest zaduch, bo wszystkie okna pozamykane.

Robię zdjęcie aktu zgonu. Muszę okazać w kadrach.

W głowie mam: „ciach dziadka w piach”.

Ola Jankowiak – działaczka i edukatorka kultury. Urodzona (w Zawierciu), by leżeć na łące, pisać i czytać. Zmuszona, by pracować na etacie. Wojownicza miłości i empatii. Just a girl. Motto: „śmierć frajerom”. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @olaluciola.

Miałem kiedyś wielu oj- ców

Arkadiusz Sieroń

Dawno temu.

W dniu moich narodzin pierwszy ojciec rzucił palenie, ale spóźnił się na poród.

Jako dzieciak chepiłem się swoją niezwykle rodziną: mam więcej ojców niż wy wszyscy razem wzięci!

Z drugim rozmawialiśmy o literaturze. Czytał to, co pisałem. Mówił, że jest dumny i czeka na kolejne fragmenty. Niczego mi nie poprawiał. Miał kobiece rysy i ciepły głos.

Moi ojcowie są tak liczni i silni, że wzniesli katedrę!

Ojciec numer siedem był szczupły i zabawny, ale rzadko go widziałem, bo pracował od świtu do wieczora. Gdy wracał do domu, przynosił mi najlepszą szynkę i komiksy z Kaczorem Donaldem.

Z ojcem numer dwadzieścia jeden grywaliśmy w ping-ponga. Nauczył mnie podciętych serwisów i niczego innego. W szatni opowiadał ciągle te same historie z młodości: o maturze, imprezach w akademiku, wyjeździe do Szwecji.

Zaletą posiadania tylu ojców jest możliwość przebierania. Zawsze znajdzie się jakiś do wspólnej aktywności. Z jednym jeździłem na narty, z innym żeglować. Na basen umawiałem się z ojcem numer pięćdziesiąt, gokartami ścigałem się z dwudziestką siódmką, z jeszcze innym chodziliśmy po górach. Miałem ojca od sztuk walki i od trambambuli. Od każdego ciągnąłem kieszonkowe.

Ojciec o numerze, niech no sprawdzę, chyba sześćdziesiąt cztery nauczył mnie grać w szachy. Gdy zacząłem go pokonywać, zapisał mnie do klubu i woził na turnieje. To było wszystko, co dla mnie zrobił.

Ważne, że koledzy mi zazdrościli. Nie było potrzeby wspominać o wadach wieloojcostwa. Jeden mówił „tak”, drugi nieustannie odmawiał. Inny na wszystko wzruszał ramionami. Który miał rację?

Z ojcem numer czterdzieści dwa paliliśmy marihuanę do płyt Pink Floyd. Każdy dźwięk słyszeliśmy bardzo wyraźnie. W przerwach między utworami śmialiśmy się Bóg jeden wie z czego. Na trzeźwo rozmowa się nie kleiła.

Ziemia obrodziła ojcami. Oglądam ich uważnie, ale nie potrafię wybrać.

Ojciec trzydzieści sześć wołał AC/DC. Nie akceptował innej muzyki. Zawsze puszczał ich w aucie na cały regulator, gdy pędziliśmy autostradą dwieście na godzinę. Darł się na innych kierowców.

Numer trzydzieści trzy był zupełnie inny. Nigdy nie podnosił głosu i dużo się modlił. Żył jak pustelnik i rzadko się kąpał. Majątek rozdał ubogim, zostawił mi tylko swój własny psalm.

Zdarzały się też wyjątkowo paskudne charaktery. Jeden tak strasznie na mnie krzyczał: ty kretynie, użyłbyś mózgu! Inny zdzielił mnie pasem, gdy popsulem słuchawkę prysznicową.

Nienawidziłem sześćdziesiątki ósemki – zostawił matkę, gdy go najbardziej potrzebowała.

Ojciec numer osiem przeciwnie: trwał wiernie przez wiele dekad,

mimo że zniedołężniał
i robił pod siebie. Był stary już wtedy, gdy mnie płodził.

Chodzę pośród ojców i nie mogę się zdecydować.

Jak przez mgłę pamiętam ojca, który dojeżdżał do Warszawy do pracy. Wracał zmęczony, ale zawsze miał dla mnie czas i dobre słowo. Nigdy nie przeklinał, śmiał się szczerze, a rano przed wyjściem podawał mi ciepłe kakao. Gdy zacząłem chodzić na poważnie z pierwszą dziewczyną, uroczyście wręczył mi prezerwatywę. Tłumaczył cierpliwie, o co chodzi z kobietami, i w ogóle z życiem.

Zmarł przedwcześnie.

To może nawet nie był jeden, tylko kilku ojców. Czasem stapiają mi się w jedną postać.

Ojciec pięćdziesiąt pięć spał do późna. Gdy wstawał, donośnie pierdział. Był głośny i irytujący, z wyglądu przypominał Quasimodo. Ale serce miał piękne. Gdy ludzie o coś go prosili, zawsze im pomagał, nawet moim innym ojcom.

Nie mogę nie wspomnieć o numerze siedemdziesiąt siedem, który uczył mnie prowadzić samochód. Jechaliśmy na pusty parking za Górniakiem i tam sadzał mnie na kolanach. Nie dosięgałem do pedałów, ale zawzięcie ruszałem kierownicą. Powtarzał, że świetnie mi idzie i jeżdżę lepiej od matki, która była za głupia, aby zrobić prawo jazdy.

Był też taki ojciec, niestety nie zapisałem numeru, który obiecał mi, że urządzimy sobie ognisko w Beskidach. Tylko my dwaj i duchy

gór. Nigdy się nie wybraliśmy. Już nawet nie pamiętam, dlaczego.

Ostatecznie inny numer nauczył mnie rozpalać ogień. Do dzisiaj jestem mu za to wdzięczny, ale wyjazd nie należał do udanych. Tamtego nie dało się zastąpić. Niczego się nie bał. A ten spanikował... Gdy o świcie zaatakował nas niedźwiedź, to ja musiałem strzelić.

Innych z chęcią bym zamienił. Wszystkich wrzeszczących z byle powodu i tych, którzy wierzyli, że dzieci i ryby głosu nie mają.

Przechadzam się między ojcami. Nie mogę znaleźć tego jednego.

Z wieloma piłem wódkę, ale tylko z jednym potrafił się przytulić bez skrępowania. Już chyba o nim wspominałem. A może nie, czasem ojcowie mi się mylą.

Raz umówiłem się z numerem osiemnaście na polowanie, a pojechałem do sto ósemki. Z tym całym sprzętem myśliwskim do ojca buddysty! Do dzisiaj mi to wypomina.

Prawie wszyscy włączali telewizor od razu po przyjściu do domu. Oglądali walki bokserskie i kiepskie filmy sensacyjne. Czytali gazety na sedesie i przeklinali, gdy rozmawiali przez telefon.

Mimo zastępu ojców, zawsze czułem niedosyt. Było ich tak dużo, że nie dało się ich dobrze poznać. A może za mało? Powinienem mieć ich trzysta sześćdziesiąt pięć, po jednym na każdy dzień roku. Kilku jednak brakowało.

Tęskniłem za nimi. Tylu ojców wokół, a ja płakałem za tą garstką. Ciągłe płaczę.

Za ojcem, który zmarł przy porodzie. Przychodziłem czasem na

cmentarz.

Za ojcem, który wyjechał po moich narodzinach. Próbowałem go odnaleźć.

Za ojcem, z którym się pobiliśmy. Nikt nas w porę nie rozdzielił. Czy on był tym prawdziwym?

Ojcowie też są zdezorientowani. Zawsze tacy byli. Jak dzieci. Miałem tylu ojców,
a wszyscy kupowali mi nietrafione prezenty – oprócz tego, który zabrał mnie na wycieczkę do Egiptu, bo zapamiętał, że marzyłem o piramidach. Zapomniiał za to spakować krem i spaliliśmy się słońcem.

Chodzę po ziemi ojców i szukam chociaż jednego sprawiedliwego. Zadanie skazane na porażkę, bo ojcowie ustanawiali zasady, których sami nie przestrzegali.

Chociaż jednego czułego. Ojciec trzysta trzy służył w wojsku i w domu też wydawał mi rozkazy, ale przynosił książki z biblioteki, a nocą przykrywał mnie kołdrą. Liczy się?

Jednego szczęśliwego. Czy to numer siedem, który upijał się kukurydzianą whisky i zostawiał hojne napiwki? Może ten, który uwielbiał grać w kalambury, mimo że fatalnie pokazywał hasła i nie potrafił przegrywać?

Albo ten, któremu zdarzało się chodzić nago po mieszkaniu i nucić *Wish You Were Here*? Żałuję, że nie poznałem go lepiej. Zostaliśmy kumplami, ale tylko na chwilę, bo gdy zacząłem śpiewać swój utwór, on umilkł i wyszedł.

Chciałbym, abyś tu był, tato. Abyś oddzielił dla mnie skórkę od mięszu. Abyś zasłużył na ocalenie.

Arkadiusz Sieroń (ur. 1988) – pracuje jako adiunkt w Instytucie Nauk Ekonomicznych na Wydziale Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego. Oczywiście kocha swoją pracę, ale dopadł go kryzys wieku średniego i postanowił spróbować swych sił w pisarstwie. Jest autorem wielu publikacji naukowych, ale marzy o napisaniu powieści. W chwilach wolnych od pisania podróżuje i zdjęcia obrazów za pomocą światła. Publikował w takich czasopismach, jak: *Suburbia*, *Strona Czymna*, *Tlen Literacki*.



strużki

Dominika Król

cenię stare kobiety
pachnące drzewem różanym
metalowymi krzyżami
przeleżałymi muszlami

nie da się ich stłuc
wciągnąć odkurzaczem
rozerwać po nich pereł
nie da się też ich wyprać przemodlić przemalować przesłuchać
wybić z głowy
luster
wytrzepać z materacy dywanów szuflad i sztućców
wtapiają się w azbest jedwab parkiet płatki kosmetyczne grykę
i poliester

są jak struga
słup soli
powietrza
są równie niezastępowalne jak uparte
można rzucać w nie kuchennymi szmatkami i chustkami do nosa
złapie je w kaszkiet
niedoszła miłość sprzed dwudziestki
sroka
kot którego dokarmiały

cenię stare kobiety
tam gdzie są teraz
chwytają za odbarwione klamki
wchodzą na najwyższe piętra
do sąsiadek których nie mogły odwiedzić

na szczytach bloków gasną im papierosy
w miarę patrzenia jak
wynosi się meble
wynajmuje po nich mieszkania
wyrzuca gąbki po starej wersalce
zdejmuje paznokciem siwe włosy z ubrań

spacerują pod klatką
dzwonią głuchymi telefonami by zatrzymać samochody i autobusy
naoliwiają huśtawki
domofonami budzą dziecko w gorączce
gdy najdzie je ochota na puszkę coli
spacerują z bezdomnymi psami

z rozwiązanych krzyżówek wyrastają im skrzydła
robią skłony do przodu do tyłu do lewej i prawej nogi
czuwają
suszą paznokcie pomalowane na perłowo
gwiżdżą pod wiatr

tutaj z ust do ust przechodzi wersja że
na urlop u Pana Boga
odlatują tylko na zimę

Dominika Król – poetka, esteta, zawodowa daydreamerka, studentka filologii polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego urodzona w 2004 roku. Lubi filozofować przy zielonej herbacie, rozbija świat po swojemu klejąc słowa i chwytając obrazki. Publikowała dwukrotnie we wrocławskim *Notatniku Literackim*, *Szajnie*, *Składce*, na stronie WydawnictwaJ oraz *e-Elewatorze*. Można ją znaleźć na Instagramie pod nazwą @szczera Poezja.

Drgnięcie ciała póź- nym ma- jem

Morgan Toporyński

Niedziela, 11 V roku pańskiego [czyli czyjego?]

Ostatnio odzyskuję. Tak czasami mam, że impulsywnie pozbywam się wszystkiego i odzysk to jedyne źródło tego, co w życiu zdaje się być niezbędne. A zatem odzyskuję:

Zbawienną dla płuc nikotynę [W maju rzadziej pada deszcz, toteż przechadzam się po parkach i z rzuconych niedopałków próbuję skrócić choć połowę szluga.]

Kawę [Spijam zimne resztki z kubków, które od zimy zalegają w rogu pokoju.]

Miłość [Znamy się zbyt krótko, żebym wdał się w szczegóły. Niekoniecznie ze wstydu, bo jeszcze nie udało mi się go odzyskać i nieszczęśliwie jest to teraz moim priorytetem.]

Może w końcu odzyskam siebie?

Wtorek 13 V roku pańskiego [czyli niczyjego?]

echo płonie w moim nieskalanym prawdą gardle

rozciąłem wczoraj:

dwa brzuchy

pajęczynę

trzydzieści siedem skrawków materiału

cztery struny

jedną czwartą kotary

a potem dryfowałem w półśnie między ciałem, a czymś, co ciała nie przypominało. chciałem zabić trochę czasu, ale za mało wiem o zbrodniach i właściwie nawet nie mam, co zrobić z jego zwłokami.

narkotyczny puls zaczyna powoli [ale progresywnie] kroić mnie na zmysły i świadomość.

kogo prosi się o rozgrzeszenie?

z całej tarczycy przepraszam za mój grzech

Środa 14 V roku pańskiego [czyli... Twojego?]

Sentyment do, zdaje się już martwej, sztuki dramaturgii wymusił na mnie dopisanie didaskaliów. Próbowałem stawiać opór, bo przecież miałem pisać epikę, ale niedobrze jest kontestować sentymenty. A zatem:

Autobus. Taki, który odwozi z miasta na prowincję, a wcześniej z prowincji do miasta. I też taki, który słynie z wszechobecnej woni fekalii. Zresztą całkiem niesłusznie, bo to bardziej zapachy zimowego kurzu, który teraz chce mieć coś wspólnego ze słonecznikami i wzbija się pod wpływem słońca w górę. Nieprzebiwszy się przez dach ani szyby pojazdu, wiruje w powietrzu i ma na podróżujących wpływ chyba jeszcze bardziej zbawienny niż dym papierosowy. A jesienią wbija się w fotele chyba jeszcze głębiej niż ja i wtedy być może faktycznie dominującą wonią są fekalie. Siedziska są ciemnoniebieskie [ciekawe, czy na życzenie rezydującego tam kurzu] i, subiektywnie, niezbyt wygodne.

To chyba przez takich grafomanów jak ja wymiera to dramaturgii. Dramat niesceniczny i aczytalny. Przede wszystkim jednak DRAMAT.

Jakiś mężczyzna mówi mi, że wolalby być zwierzęciem. Czemu akurat mi?

Czwartek 15 V roku pańskiego [czyli Waszego?]

Didaskalia te same, co wczoraj, dziś jednak nikt mi się z niczego nie zwierza. Ciężko mi ruszać ciałem. Może umarłem?

Piątek 16 V roku pańskiego [czyli... chyba mojego?]

Dziś odzyskałem wszystkie wspomnienia, o których sądziłem, że są już nie do odratowania. Najbardziej cieszę się ze wspomnień o naszym pierwszym widnokregu, horyzoncie, pocałunku, zlepieniu, przeziębieniu, filmie, butelce, kamieniu, rzece. Najmniej z tego o hostii rozplywającej się w agnostycznych ustach.

Usłyszałem nową muzykę i drylowałem czereśnie. A potem zjadłem jednego i jedną ósmą pieroga.

Sobota 17 V roku pańskiego [czyli mojego!]

Usłyszałem dziś coś, ale nie za bardzo chcę się tym dzielić z nieznajomymi. To były w gruncie rzeczy ładne słowa. Ładne, ale niezbyt mądre. Z wątpliwą zawartością merytoryczną, przepraszam, kaloryczną. Nie miałem ochoty dodać ich do mojego jadłospisu, ale chciałem mieć je na języku. I nigdzie więcej. Nie mogłem pozwolić by stały się częścią mnie, mojej wątroby, krwi, przełyku, kości ogołonej. To jedno z tych słów, które traktuję jak bulimik, rozgryzam je, delektuję się smakiem, a potem wypluwam. A jeśli przypadkiem je połknę, natychmiast wsuwam dwa palce głęboko w gardło.

Sentymenty dudnią w uszach i mówią coś o 8. klasie? Muszę kończyć, nie mogę rozwinąć wątku. Ale przynajmniej wiecie coś o ładnych, ale niezbyt mądrych słowach.

była noc
i był jeden, cienki papieros
skręcony w
niestety
fabryce
i była też prokrastynacja
wyjątkowo mało łez
i zwyczajnie mało snu

Morgan Toporyński – poeta i fotograf. W niezwykle rzadkich chwilach „wolnych” stawia tarota, słucha polskiego punkrocka i realizuje archetyp włóczykija. Od niedawna aktywny również na deskach teatru. Zafascynowany filozofią starożytną, historią literatury i zachodnim ezoteryzmem. Można go znaleźć na Instagramie na koncie @toporynskii.

Corpus delicti

Magdalena Hirsch

– Czekają dziś państwa pierwsze ćwiczenia z anatomii. – Facet w średnim wieku pojawił się znikąd i obrzucił niechętnym spojrzeniem grupę. – Dzień dobry.

– Dzień dobry – studenci brzmiali niewyraźnie, jednak w miarę jak zbliżali się do drzwi prosektorium, ich ruchy stawały się coraz bardziej ożywione; Laura też przyspieszyła kroku. – Proszę szybciej, mamy dużo pracy.

Laura weszła do sali ostatnia. Starając się nie hałasować za bardzo, usiadła w pierwszym rzędzie – wszystkie inne miejsca były już zajęte.

– Widzę, że włożyli państwo fartuchy i odpowiednie obuwie, za chwilę weźmiecie jeszcze jednorazowe rękawiczki. I dwie uwagi: panie mają mieć związane włosy i krótkie paznokcie; w przeciwnym razie będę wypraszał z zajęć. Po drugie – moich zajęć jeszcze nigdy nie zaliczyła więcej niż połowa studentów. Wymagam stuprocentowej obecności, a kolokwium zdaje się u mnie od siedemdziesięciu procent. Nie przewiduję żadnych odstępstw od tych reguł. Jeśli kogoś to przerasta, to zamiast powoływać się na prawa studenta czy inne głupstwa sugeruję od razu zrezygnować ze studiów. Jasne? Przejdziemy teraz do właściwej części zajęć, czyli oglądania preparatów miękkich. Za półtora miesiąca czeka państwa kolokwium z tak zwanych szpilek. Laura patrzyła przed siebie bezmyślnie. Co ona będzie robić, jak ją wyrzucą ze studiów?

– Siadać! Wiecie w teorii, na czym polega anatomia, ale praca z preparatami to coś zupełnie innego. Jako od przyszłych lekarzy wymagam od was profesjonalizmu. Jeśli ktoś jest zbyt delikatny na kontakt z narzędziami, to wiecie, gdzie są drzwi. Teraz możecie wstać. Pójdziemy po preparaty.

– Weźmiemy sobie kończynę górną i... tam, proszę pana, jest cały organizm, może pan rzucić okiem, jak tak pan bardzo chce. – Chłopak odchylający folię, okrywającą podłużny kształt, aż podskoczył. – No, niech pan rozepnie to do końca, możemy obejrzeć taki preparat w ramach ciekawostki, zaraz go przygotuję. Uczyć się będziemy na mniejszych fragmentach. Niech państwo podejdą. Ciało było bardzo małe, żółtawe, o pomarszczonej skórze, rozcięte wzdłuż mostka. Nie posiadało żadnych charakterystycznych cech; gdyby nie genitalia, nie można by nawet rozpoznać w nim kobiety. Żadnej tożsamości.

Może dobrze by było, gdyby człowiek miał chociaż tę duszę.

– ...i to jedyny w naszym prosektorium preparat, który ma we wnętrzu wszystkie organy – zakończył wykładowca. – A teraz przejdźmy do zajęć. Zaczniemy od wstępu teoretycznego. Laura poczuła, że oczy zaczynają jej się przymykać. Wytrzeszczyła je do granic możliwości i wlepiała wzrok w dłonie prowadzącego, który właśnie chwycił nogę i tłumaczył coś tym swoim nieprzyjemnym głosem.

*

– Cześć, cześć. – Laura kiwała głową wychodzącym kolegom. Została w szatni sama.

– Wychodzi pani? Chciałabym umyć podłogę. – Zmęczona kobieta w czerwonym kitlu stanęła w drzwiach szatni i oparła się o wózek, w którym leżały mop, ścierki, detergenty i wiadro z wodą. Gdzie jest kluczyk do szafki? W kieszeniach go nie było. Może w torbie? Tylko gdzie jest torba?

– Halo, słyszała pani?

Szlag by to trafił. Torba musiała zostać w prosektorium.

Drzwi były uchylone; na ziemię padało białe światło. Wraz z nim z prosektorium ulatniał się ten dziwny, niejasny zapach: ciągle dotykanych metalowych sprzętów, spirytusu, lateksowych rękawiczek i zwłok, które pachną uniwersalnie – zwłokami. Laura usłyszała pisk; ktoś przechodził między taboretami, roztrącając je na boki. Odczekała chwilę, po czym ostrożnie zajrzała do sali. Pusto. Może jej się zdawało.

Teraz trzeba tylko wejść, wziąć torbę i wyjść. Gdy jednak mijała stoły, na których jak na katafalkach spoczywały czarne, podłużne worki, zboczyła z obranej trasy i podeszła do ciała, które dzisiaj oglądali. Próbowala potem zrozumieć, co nią wtedy kierowało, ale nie znalazła żadnego wytłumaczenia. Laura stała i uparcie wpatrywała się w ciało. Czuła, jak wysychają jej oczy; obraz nie stawał się jednak niewyraźny, przeciwnie, zwłoki puchły, nabierały jaśniejszej barwy, falowały. Coraz mniej przypominały preparat, a coraz bardziej – starszą, nagą kobietę o pomarszczonej skórze i bystrym spojrzeniu, które wyłoniło się spod powiek pokrytych licznymi zmarszczkami. Kobieta podniosła się, usiadła na brzegu stołu i przemówiła; niski głos, niepasujący do wąskich ramion i kościstych dłoni sprawił, że Laura nagle otrzeźwiała i spojrzała na wszystko wyraźnie i jasno.

Senna, prawdziwą opuściłaś drogę.

Laura zaczęła bujać się bezwiednie w przód i w tył.

Zatrzymaj się. Na połowie czasu.

Laura znieruchomiała. Kobieta zeskoczyła ze stołu i zaczęła przechadzać się po prosektorium, przeciągając palcami po stołach i rozcierając kurz w dłoniach. Nagość nie krępowała jej w żadnej mierze. Kroki stawiała twardo i powoli; mimo bycia przygarbioną biła od niej stanowczość.

– Czy to mi się śni? – wyrwało się Laurze. Kobieta przystanęła i spojrzała w jej stronę.

– Wiesz przecież. Jesteś tylko senna, nie uśpiona. – Milczała przez chwilę. – Nogi, macice, nerki, czaszki, zupa z alkoholem. *To be or not to be*. Serca, wątroby, mózgi. Co tak patrzysz, co? Chcesz mnie pewnie spytać, skąd jestem i po co jestem?

– Chcę.

– Pytasz o mnie, ale tak naprawdę chcesz spytać o siebie. Nie wiesz, skąd i po co jesteś, więc ja też nie mogę wiedzieć. Nie wierz nigdy tym, którzy udzielą ci odpowiedzi na te pytania, ale i nie ufaj tym, którzy przestali ich szukać. – Chwyciła znienacka jej dłoń i przesunęła po swoich żebrach. – Kręgi wtajemniczenia nie istnieją, pamiętaj. Nie ma kiedyś i teraz, to po prostu inne miejsca, których ani ja, ani ty nie obejmujemy tym ułomnym ze swej natury wzrokiem.

Wiotkie piersi kobiety ocierały się o fartuch Laury.

– To się nie zmienia, z czasem tylko wysycha, brązowieje, zmienia się w popiół albo jest zjadane przez robaki, ale istota rzeczy się nie zmienia.

– Czyli niczego mi pani nie wytłumaczy, tak?

– Niczego, kochanie. Nie opowiem ci nawet o tym budynku, w którym jesteśmy, choć za życia przemierzyłam go wzdłuż i wszerz. Niczego cię nie nauczę i przez nic cię nie przeprowadzę, bo to nie może się wydarzyć. Mogłabym wyrwać sobie z piersi serce i włożyć ci je w dłoń, ale to niczego by nie zmieniło, bo to nie twoje serce. Rozumiesz?

Staruszka gwałtownym ruchem wbiła kościstą dłoń w klatkę żeber i wyciągnęła z niej pulsujący organ. Laura widziała na dłoni

tętniące serce o temperaturze jej własnego ciała, a kobieta zapadała się w czarny worek.

Przymknęła oczy. Gdy je otworzyła, ręka była pusta, a pokrowiec zasunięty.

– To znowu pani? – Laura usłyszała gderliwy, znajomy już głos.

– Studenci nie mogą sami wchodzić do prosektorium! Co pani tu robi?

Co tu właściwie robiła?

– Zapomniałam torby, już wychodzę. – Laura uśmiechnęła się przepraszająco. Kątem oka zobaczyła, że kobieta popchnęła swój wózek w głąb sali i przesunęła palcem po jednym z blatów.

*

– Do czwartku, niech państwo już idą. – Prowadzący zdjął rękawiczki i zaczął przeglądać jakieś papiery. Nagle podniósł głowę.

– A, pani Lauro, niech pani na chwilę zostanie.

Wszyscy wyszli, prowadzący zamknął drzwi i przysiadł na brzegu biurka. Laura unikała jego przeszywającego spojrzenia.

– Przejdę od razu do rzeczy. Zaginął jeden z preparatów. Wie pani coś o tym?

Laura poczuła ścisnięcie w żołądku.

– Sprawdzalem rano stan prosektorium i odkryłem brak serca.

A podobno to właśnie panią tu widziano po zajęciach.

– Tak, byłam w prosektorium – wyznała desperacko Laura. – Przyszłam tylko po torbę, ale...

Właściwie, czemu miałyby mówić coś więcej? Spojrzała mu w oczy.

Nie zauważyła tam żadnej kpiny czy złośliwości. Patrzył na nią z napięciem.

Właściwie, dlaczego nie miałyby mu zaufać?

– ...nie powstrzymałam się przed spojrzeniem na to ciało, które oglądaliśmy. Przysięgam, chciałam tylko popatrzeć. Zostałam zmuszona do wzięcia tego serca do ręki.

Prowadzący drgnął. Nerwowo odgarnął włosy z czoła.

– Nie rozumie pan, co mam na myśli, prawda? Mogę...

– Wiem, co pani ma na myśli, doskonale wiem. Ale fakty są takie, że serca nie ma.

Laura spojrzała na niego bezradnie.

– To co mam zrobić?

– Niech pani siada – prowadzący podsunął jej taboret. – Zgodnie z przepisami, powinna pani zostać dyscyplinarnie usunięta ze studiów, ale oboje wiemy, że nie jest pani niczemu winna. Z drugiej strony, powinna pani stąd zniknąć dla własnego dobra. – Milczał przez chwilę. – Mogę natomiast pani obiecać, że sprawę zaginionego preparatu wezmę na siebie... mam w tym pewną, hm, wprawę.

– Dziękuję. – Laura wstała i wyciągnęła do wykładowcy rękę. To wszystko było absurdalne, rujnowało jej życie, ale ten człowiek, który właśnie siedział obok i mówił to wszystko, rozumiał ją. Wyczuła to w uścisku dłoni i słowach:

– To przypadek. Tak jak każde wspólne doświadczenie.

Magdalena Hirsch – rocznik 2002, studentka polonistyki, poetka-słamerka niestroniąca od prozy. Publikowała opowiadania w magazynach *Tlen Literacki*, *zakład.magazyn*, *Składka*, *Epea*, *Pismo literackie* i *Pismo Trytytka*. W wolnym czasie prowadzi instagramowego peja @wawer_intellectuals z memami o sztuce i literaturze, gdzie również czyta swoje wiersze i opowiada o ulubionych postaciach. W kółko słucha Kaliny Jędrusik i Kaśki Nosowskiej.

Wrzesień, piątek rano

Szymon Horała

Wychodzę z domu w lekkim stresie, bo znowu jestem spóźniony. Mijam piekarnię i zastanawiam się, jak często ekspedientki myślą o moim losie. Sam kiedyś byłem w podobnym miejscu i ogromnie ciekawiły mnie życia wszystkich spotykanych osób. Poza jedną emerytką, jednym pijaczkiem i jednym ochroniarzem z pobliskiej budowy, nikt nie był specjalnie wylewny. Co się od nich dowiedziałem, to już dawno zapomniałem, ale wtedy ciekawość zaspokajali. Tym, którzy jej nie zaspokajali, wymyślałem biografie, dopisywałem kochające córki lub skłócone rodzeństwo. Jak ktoś był mniej sympatyczny, to stwierdzałem, że to pewnie przez pożar w mieszkaniu sprzed lat, w którym zginęło jedno z rodziców i spłonął cały dobytek, albo przez straszny wypadek na autostradzie, w wyniku którego dana osoba owdowiała.

Biegnę na tramwaj, który ma mi uciec i oczywiście ucieka. To normalne we Wrocławiu, że, kiedy spóźniam się na tramwaj, on wzorowo odjeżdża o czasie. Inaczej, kiedy się spieszę i przychodzę o czasie. Rekord w kategorii spóźnień to 10 minut. Wtedy nie kupuję biletów, tłumacząc sobie, że skoro przewoźnik nie wywiązuje się z tej umowy, to ja też się nie będę wywiązywał. Ja straty wizerunkowe, przewoźnik finansowe. Nie ma tak, że tylko ja będę tracił. Podjeżdża kolejny tramwaj, oczywiście spóźniony. Siadam z przodu, żeby kontrolować, czy nie ma kanarów. Mój kodeks moralny nie przekłada się na kodeks regulaminu MPK, więc co bym się pokłócił, to moje, a co bym zyskał, to mandat. Współpasażerów z tramwaju już trochę jakbym znał, jedziemy razem, coś nas łączy. Przed moim przystankiem przeciskam się między nimi na drugi koniec tramwaju. Dzięki temu nie będę musiał przeciskać się między tymi wszystkimi obcymi ludźmi na przystanku.

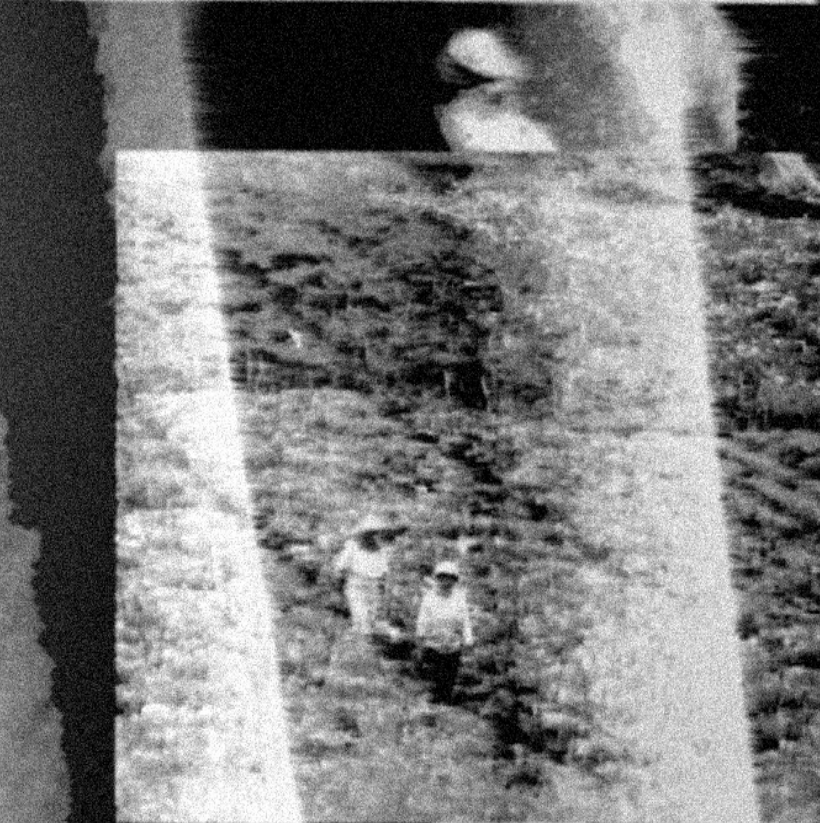
Wychodząc, patrzę na zegar, ten mówi, że jestem już kilka minut spóźniony. To się zdarza codziennie. Niecodziennie natomiast powtarzają się osoby, które mijam na trasie przystanek-praca. Nie każdego chce mi się pamiętać, za mało pojemności ma ta pamięć, ale ktoś zawsze wpada mi w oko na tym 100-metrowym odcinku. Dzisiaj była to turystka, której z twarzy spadły okulary przeciwsłoneczne. Szła z mężem, zamiast od razu się schylić (wiek jej na to pozwalał, sprawność, jak oceniłem po chodzie, też), zaczęła się prostować, poprawiać włosy, rozciągać najpierw ręce, potem nogi. Przeszła do pajacyków, doliczyłem się dziewięciu. Nieładnie. Już mogła do tych dziesięciu zaokrąglić, byłoby równo i parzyście. Kolejny był trucht w miejscu, chyba jako rozbiegówka, po czym zrobiła trzy rundki dookoła okularów. Miałem już iść, bo spóźnienie przekracza ten słynny akademicki kwadrans, ale praca stała się jakoś mniej istotna w tej chwili. Zresztą nigdy nie była więcej niż praca. Po trzecim kółku mąż złapał ją za dłoń i wspólnie zatańczyli walca wokół okularów. Wziąłem krzeselko z pobliskiej restauracji i usiadłem, bo najlepsza poza do patrzenia to siedzenie. Nikt poza mną nie przygląda się widowisku, szkoda, bo wiele tracą. Mieliby materiał na opowiadanie. Państwo choreografię dopracowywali zdecydowanie przez długi czas, z walca przeszli do krakowiaka. Z lekkim stresem patrzę na ich stopy, kroki stawiają zbyt blisko okularów. Jakby specjalnie chcieli budować napięcie dla jednoosobowej publiki. Pomyślałem, że brakuje tutaj muzyki, ale ta, jak na zawołanie, zaczęła wybrzmiewać z jednej z pobliskich uliczek. Wyszła z niej romska kapela podwórkowa, której, jak się okazuje, krakowiak nie był obcy. Spektakl dalej nie przyciągał niczyjej uwagi, przechodnie dookoła tylko potykali się o moje krzesło. Przywykłem do bycia nie-

zauważalnym. Państwo uklonili się sobie, Pani podniosła leżące na ziemi okulary. Odchodząc, założyła je na nos i wtedy widziałem ją po raz ostatni. W powietrzu uniósł się zapach kawy i dyni, co miało być pierwszym zwiastunem sezonu jesiennego.

Szymon Horała – urodzony w Poznaniu, osiadły we Wrocławiu. Publikował w *Notatniku Literackim* oraz magazynie *Fuga*. Z zamiłowania nerwus i panikarz, dumny współwłaściciel ślimaka Kamila. Można go znaleźć na Instagramie na koncie @aleo.cochodzi.



Dzieciństwo spędzały w ogrodach.
Wykopywały z ziemi to, co teraz, wcielały się w role dla zabawy.
Minęło wiele lat, skóra napęczniała im pyłem, paznokcie zbieleły od gipsu.
Wieczorami kończą zbiory, znikają za purpurową kurtyną.
Słychać ich śpiew.
Głos jednej usypia drugą.
Sen się powtarza.



Nad ranem wprowadzamy w ruch turbiny.
Falująca kurtyna jest znakiem, że trzeba wracać do pracy.

Owce

Julia Niedziejko

Bardzo się cieszę na próby z wami i mam nadzieję, że będzie nam się dobrze współpracować. Niech każda weźmie po jednym scenariuszu. Na pierwszej stronie macie podział ról. Zanim jednak przejdziemy do czytania, na rozgrzewkę zaśpiewajmy kilka kolęd. Wprowadźmy się w świąteczny nastrój!

Przybieżeli do Betlejem pasterze.

Pasterz 2:
Mam grać klawisza? To chore.

Reżyserka:
Nie klawisza, tylko opiekuna. Jezus też był pasterzem.

Grają skocznie...

Strażniczka 2:
Osadzona, natychmiast rzuć tę laskę pasterską na ziemię! Wpisuję naganę za nieuzasadniony popis przemocy. Jeszcze jeden taki wyskok i ładujesz u Naczelniczki.

Chwała na wysokości, chwała na wysokości.

Naczelniczka:
Jak pani wyjaśni dzisiejszy incydent na próbie?

Reżyserka:
Nie sądziłam, że sam przydział ról tak je poruszy. W końcu to tylko jasełka. Anioły i mędrcy przyjęły wszystko spokojnie. Reszta wyglądała, jakbym im dorzuciła dodatkowe lata do wyroków. Tak naprawdę przydział tych ról był losowy.

Naczelniczka:
Nie obwiniam pani. To się zdarza. Potraktujmy tę sytuację jako

chwilowe rozprężenie skupienia w grupie i kontynuujmy próby.

Oddawali swe ukłony w pokorze.

Pasterz 3:
Mogłaś powiedzieć, że nie chcesz grać pasterza.

Pasterz 1:
Ja powiedziałam od razu, że mi to wisi, kim mam być.

Pasterz 3:
Kogoś i tak musiałybyśmy zagrać, więc ostatecznie to żadna różnica.

Pasterz 1:
Serio, to nie jest najgorsza rola, bo przypominam, że niektóre dziewczyny grają trzodę chlewną.

Pasterz 3:
Pomyśl sobie, że miałabyś wypacać wszystkie grzechy w kaftanie z wełny. Nie musiałas ich zaraz walić kijem po racicach, i tak mają przejebane. Na miejscu owiec bym się wkurwiła.

...i akcja!

Nie daruję sukom, nie ma opcji. Niech tylko zdejmą ze mnie bandażę, a pierwsze co zrobię, to rozpętam tym owieczkom taką pożogę, że jeszcze zabeczają. Najwyraźniej nie wiedzą, z kim mają do czynienia.

Nie wiem, co widziałam. W jednej chwili śpiewamy kolędy, publiczność klaszcze rytmicznie i nagle czyjeś ucho ląduje pod moimi nogami. Wszędzie krew, jakieś krzyki. Owca ma szal w oczach, pod jej racicami widać ludzką skórę, a w wełnie – włosy. Koszmar. Źle mi na samą myśl o owcach. To, co widziałam będzie mi się śnić po nocach.

Czemu to mnie o wszystko pytacie? Powiedziałam wam wcześniej – nie miałam pojęcia, że dziewczyny planują taką rozróbę, a więc tym bardziej nie powiem pani, dlaczego to zrobiły. Może uznały, że wszystko ujdzie im na sucho, skoro idą święta? Szczerze mówiąc, czuć było, że coś się kroi. Nie na samym początku prób, tego bym nie powiedziała. Te laski to są kryminalistki, a nie aktorki, a wie pani przecież, co to oznacza – one nie przestrzegają zasad i nie grają czysto.

Przez te laski nawet nie dobrnęliśmy do sceny z aniołami, więc teraz nikt nie uwierzy, a na pewno nie moja rozhisteryzowana tą całą akcją bratowa, że naprawdę się zmieniłam. Jak mam ją teraz przekonać, że anielskie skrzydła to nie jest wyłącznie element kostiumu, ale słuszny i wypracowany efekt wielu prób?

Uważam, że ta cała akcja była celowa i przemyślana. Pewnie któraś ze strażniczek mówiła już pani, co się działo na próbach, nie? O tych kijkach, którymi obito kilka tyłków. Tak więc ich motywacja jest dla mnie jasna – odwet! Tutaj panuje hierarchia i każda o tym wie, dlatego nie można opuszczać gardy. Po prostu nie można. Albo dostajesz kijkiem, albo jesteś kijkiem, proste.

Strażniczka 2:

Nie odezwała się od czterech dni i wygląda na to, że nie ma zamiaru mówić. A jak reszta?

Strażniczka 1:

To samo. Jakby zapomniały ludzkiego języka. Wkurwiające pizdy.

Strażniczka 2:

W końcu któraś pęknie. To nie będzie trwać w nieskończoność.

Jeszcze się taka nie trafiła, co by w końcu nie wymiękła. Mogą uda-

wać twarde, ale prawda zawsze wyjdzie na jaw.

Strażniczka 1:

W sensie, że są chore psychicznie?

Strażniczka 2:

Nie. Po prostu nikomu nie chce się bawić w udawanie przez całe życie.

Chciałabym złożyć zażalenie na więźniarki, wie pani które, te co udają owce. Z początku było nawet zabawnie patrzeć, jak chodzą na czworakach i jedzą bez rąk, ale tolerowanie tego, co teraz wyczyniają, przechodzi ludzkie pojęcie. Strażniczki kompletnie nie umieją sobie z nimi poradzić, dlatego udają, że wszystko jest w porządku. Każą nam grać z nimi w scrabble albo kalambury. Wie pani, które hasło jest podwójnie punktowane? „Beeee”. A jak opisać „Szklaną pułapkę” bez mówienia tytułu? „Beeee beee”. Więc jak pani może się z pewnością domyśleć, pretensje składane w trakcie potyczek pod prysznicem, również argumentowane są za pomocą „beeee!”.

Proszę zaprotokolować, że jedna z owiec dorwała się do mojego koca jak dzikie zwierzę. Chwyciła go paszczą i patrząc mi w oczy, zaczęła przeżuwać. I wie pani, co się potem stało? Parsknęła na mnie jak człowiek, odwróciła się i pobiegła do reszty owiec, a one zaczęły ją lizać po grzbiecie. Chyba nie są lesbijkami, tu nie o to chodzi. Po prostu śpią w jednym kącie i beczą do księżyca. Zróbcie coś z tą watahą, zanim wywiną jakąś akcją. A wywiną na pewno. Spadł już pierwszy śnieg. Zaraz mamy zacząć próby do kolejnych jasełek, prawda? Wełna wisi w powietrzu.

W tym roku dostajecie kolejną szansę od losu, więc nie myślcie

nawet o sequelu rzezi jasełkowej. Owce, do was mówię. W tym roku gracie pasterzy, żeby was nie kusiło. Jeśli ktoś chce zgłosić jakieś zażalenie, to ma pecha. Zaczynamy od kolęd tak jak ostatnio.

Pasterze śpiewają, bydłęta klękają...

Pasterz 3:

Beeee. Beee be beee, beeee.

Pasterz 2:

Beeeeeeeeee.

Pasterz 1:

Beeee be be, beeeee.

Cuda, cuda ogłaszają.

Owca 3:

Trzeba działać, gdy tylko zgasną światła. Wszyscy czekają na to, co się stanie, kiedy rozbłyszną reflektory, ale prawdziwa praca aktorska wydarza się w mroku, chwilę przed wyjściem na scenę. Wtedy musisz mówić sobie rzeczy, które na co dzień nie są tak ważne, bo nikt nie oczekuje, że wypadniesz dobrze w kolejce do kibla albo w trakcie śniadania. „Rozjebiesz to stara! Kto, jak nie ty?” – dopingujesz, a kiedy wchodzi ci to w krew, zapominasz, jak się nazywasz. Dociera do ciebie, że teraz jesteś owcą i tylko to się liczy, bo jesteś do tego stworzona.

Owca 2:

No nie wiem, stara. Jakoś dziwnie mi być owcą, chyba tego nie czuję. Nie po tym, co nam wtedy zrobiły.

Owca 1:

To nie jest kwestia wyboru. Kazali nam być owcami, no nie? Kto ma

nas o cokolwiek podejrzewać? Dasz radę, więc popraw sobie wełnę, bo ci pól dupy wyłazi na nieproszony widok.

Owca 3:

I jeszcze jedno – my tych kości nie rzuciłyśmy, ale skoro już leżą, trzeba grać. Są pewne granice, a przynajmniej my je stawiamy w sytuacji nadużycia ze strony symbolicznie niezręcznego przypadku. Do dzieła owieczki!

...i akcja!

Chór:

Przybieżeli do Betlejem pasterze

Grają skocznie dzieciąteczku na lirze

Chwaaaaała na wysokości

Chwaaaaała na wysokości

A pokój na zieeeeeeeeeee...

AAAAAAAAAAAAAAAAA!

Naczelniczka:

Ale że kto jest przeklęty – pani czy więzienie?

Reżyserka:

Owce. Owce są przeklęte. Ich prostokątne źrenice, ich rozdwojone racice, ich sztywna, roślinożerna zuchwa. Wiem, że to, co mówię, jest szalone, ale nie potrafię tego wszystkiego zrozumieć. Jakimś cudem przemoc trzyma się blisko owiec. Widziała to pani – były jak dzikie zwierzęta. Znajdźcie kogoś, kto ma mocniejsze nerwy, albo silniejsze niż ja kły.

Proszę zaprotokołować, że te nowe owce są jeszcze gorsze od poprzednich. To znaczy, poprzednie też były beznadziejne, ale

przynajmniej zachowywały się jak trzoda chlewna, więc dało się do nich przyzwyczaić. Zresztą, ta zemsta jasełkowa chyba dała im w kość. Może coś sobie przemyślały, bo teraz siedzą cicho w swoich zagrodach. Ale te nowe? Wełna wala się po wszystkich kątach, ich ryki nie pozwalają nam spać. Czy to jest nadal zakład poprawczy, czy już zoo?

Poważnie boję się o swoje bezpieczeństwo i nikt z tym nic nie robi. Owce chyba zaczynają kolaborować. Ostatnio widziałam, jak liczą coś pod nosem, ale nie po naszymu – krótkie mruknięcia, jakby rytmizowały oddech. Przysięgam, że to widziałam.

Owce szykują się do czegoś. Czuję to wyraźnie. Proszę, nie róbmy w tym roku jasełek.

Pastuszkowie od swych trzód biegną wielce zadziwieni.

...i akcja!

Dziennikarka:

W miejskim zakładzie karnym doszło do tragicznego incydentu z udziałem owiec. Jedna z trzech straciła życie podczas więziennych jasełek. Jak donosi nasz reporter, wiemy już, że morderstwo zostało dokonane przez kilka osadzonych, którym udało się zbiec. Policja podejrzewa, że schroniły się na pobliskich pastwiskach.

Policjant:

Apelujemy do wszystkich hodowców trzody chlewnej o czujność i obywatelską postawę w przypadku zdobycia jakichkolwiek informacji na temat aktualnego pobytu podejrzanych. Przypominam, że mamy do czynienia z kryminalistkami, dlatego zalecamy zachowanie wszelkich środków ostrożności.

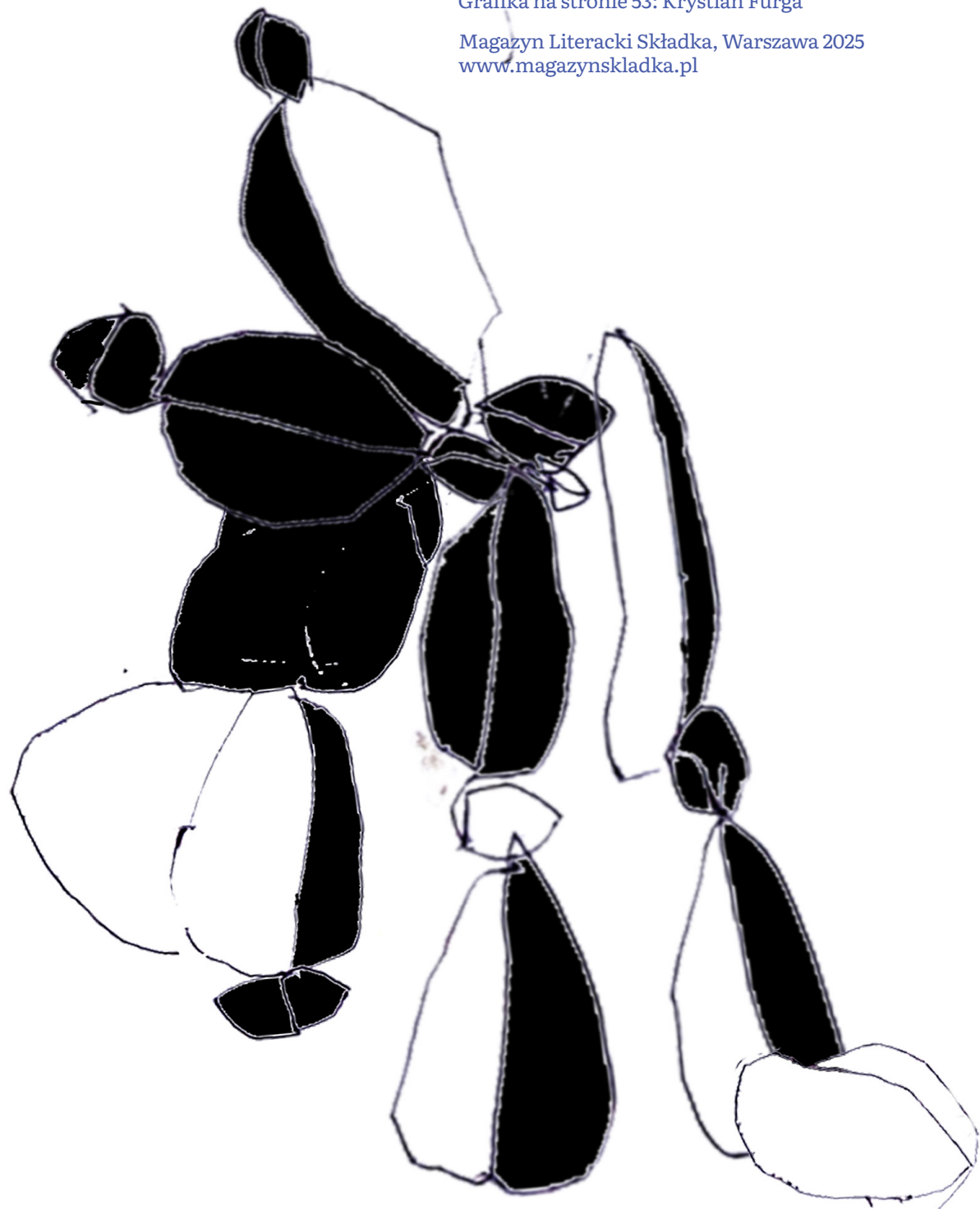
Przecież o to chodziło, żebyśmy dawali znać, jak coś zauważymy, prawda? Uznałem, że nie będę zwlekać i przyjdę od razu do was, to znaczy do więzienia, żeby szybko zgłosić sprawę. Jestem pewien, że to właśnie ich szukacie, na sto procent. Wracalem do domu pieszo. Zawsze tak robię, bo przez pastwiska jest szybciej. Wtedy je zobaczyłem. Stały w szeregu, jak podczas musztry i przysięgam, że brzmiały, jakby coś śpiewały. Z początku nie mogłem rozszyfrować, co to może być, bo przecież szaleństwem byłoby zakładanie, że ich beczenie może mieć jakiś sens, ale brzmiało, jakby robiły to z rozmysłem. Zamurowało mnie. Wiedziały, że je obserwuję, jestem tego pewien. Kiedy skończyły, jak na znak, wszystkie co do jednej, wyprężyły się, jakby z dumy, a potem zwiesiły nisko głowy. Powtórzyły ten gest parę razy, a potem po prostu na mnie patrzyły. Kłaniały mi się? Nie wiem. To przecież niemożliwe, prawda? W domu dotarło do mnie, co właściwie śpiewały. Kolędę. Ten znany refren o pasterzach, to było to. Po prostu stały w śniegu, w mroźnej ciemności i odgrywały jasełka. Ja wiem, jak to brzmi, naprawdę. Przez chwilę się zawahałem, bo idąc tu, widziałem na śniegu odciski, coś jakby racic, więc pomyślałem, że mi odbiło. I pewnie tak jest, pewnie się nakręciłem tym ich śpiewaniem, bo przecież, po co by miały tutaj przychodzić?

...i akcja!

Julia Niedziejko – autorka nominowanej do Silesiusa *Niebieskiej godziny*. Swoje teksty poetyckie publikowała między innymi w *Blizie*, *Małym Formacie*, *Piśmie*, *Stronie Czynnej*, *Wizjach* i różnych zinach. Jej teksty krytyczne pojawiły się w *Czasie Kultury*, *Dialogu*, *Didaskaliach*, *Dwutygodniku*, *Elewatorze*, *Fragile*, *Krytyce Politycznej*, *Nowych Książkach*. Współtworzy kolektyw Poezzin. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @juria.furejko.

Redakcja: Krystian Furga, Klaudia Kołodziejczyk,
Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Skład: Klaudia Kołodziejczyk, Sandra Moczulska
Projekt okładki: Marcin Salwin
Zin na stronach 14-15: Anna Rzepka (@anrzpk)
Grafika na stronie 37: Zofia Kulka (@enkaeil)
Grafika na stronie 53: Krystian Furga

Magazyn Literacki Składka, Warszawa 2025
www.magazynskladka.pl



miały one białą masę
warne zęby, szew, pluszowe wnętrza.

bliskie, a jednak piękniejsze.



